



Z ZOFIĄ KUCÓWNĄ
rozmawia Aleksandra Szariat.

- Odnoszę wrażenie, że żadna z teatralnych ról nie przyniosła pani tyle uznania, co napisana książka "Zatrzymać czas"...

- Tym wrażeniem potwierdza pani smutne zjawisko przemijania. Jest pani młodą kobietą i nie może pani pamiętać okresu, który był czasem moich największych sukcesów. Ze pojawienie się moje na ulicy, w urzędzie lub gdziekolwiek powodowało miłe poruszenie i zamieszanie. Ten czas minął. Zaczął się inny. Statecznego autorytetu, opartego na szacunku tych, którzy pamiętają tamten mój czas.

Niedawno pracowałam z młodszym ode mnie operatorem, Tomkiem Nertem. Podczas przerwy w zdjęciach, siedząc na planie, gawędziliśmy, żartowaliśmy, śmiaaliśmy się, opowiadając sobie różne anegdoty. I w pewnym momencie on powiedział: "Bardzo panią lubię. W latach 60., kiedy byłem chłopcem, m.in. na pani uczyłem się telewizji." W pierwszej chwili zrobiło mi się bardzo, ale to bardzo przyjemnie, że tak dobrze mnie zna, pamięta i lubi. Dopiero za chwilę przyszła refleksja, że przecież jestem dla niego już klasyką. Nie mogłam zrobić nic rozsądniejszego, tylko przejść z nim na "ty". To pozwoliło zatrzeć dystans do tego stopnia, że nawet pokłóciliśmy się solidnie. W klótni używałam argumentów nie fair, albowiem szantażowałam go moim wiekiem. Na szczęście nie przyjął go do wiadomości i postawił na swoim. Przedłużył plan zdjęciowy do trzeciej nad ranem. Jestem mu za ten bezwzględny gest wobec mojej "starości" bardzo wdzięczna.

Wracając do pani wrażenia - istotnie, brak satysfakcjonującej pracy w teatrze zrekompensowała

mi książka, która przyniosła mi wiele miłych przeżyć.

- W dość trudnej sytuacji znalazła się pani przed 11. laty, kiedy rozwiązano Teatr Narodowy, prowadzony przez Adama Hanuszkiewicza. Po krótkim, mało satysfakcjonującym okresie w Teatrze Ateneum nagle skończyły się propozycje. Głośno pani wtedy mówiła o rychłej konieczności zmiany zawodu, ironizując na temat towarzyszek bogatych starsuszek czy opiekunek do dziecka. Pomiędzy wierszami można było wyczytać wołanie: "Jestem! Nie zapominajcie o mnie!" Jak pani sądzi, czym spowodowany był ten brak zainteresowania?

- Pani trochę demonizuje. Nie było we mnie ani dramatu, ani cierpienia. W głębi duszy nawet pogodziłam się z tą sytuacją. Grając w teatrze ponad trzydzieści lat, bardzo racjonalnie widziałam jego problemy. Nie jestem wyjątkiem. Tak na ogół układają się życiorysy aktorek teatralnych. Literatura dramatyczna ofiarowuje atrakcyjne role głównie młodym kobietom. W tej chwili sytuacja się ustabilizowała. Gram, jestem wykorzystywaną aktorką, w rolach wprawdzie nie mających zdecydowanego wpływu na przebieg spektaklu, ale mam nadzieję, że jestem w nich wyraźną "piamą", "kolor" lub "dźwiękiem", że posłużę się sztafetażem recenzyckich określeń.

- Należy pani do kobiet aktywnych, które nie załamują rąk. Zamiast czekać na propozycje, poszukała pani ciekawych tekstów, przygotowała monodramy i objechała z nimi - Marlamy swego życia: Dąbrowską, Skłodowską-Curie, a później z "Sublokatorką"

Hanny Krail - całą niemal Polską. Jak pani wspomina ten okres?

- Bardzo dobrze. Ludzie potrzebowali wiedzy intymnych, kameralnych spotkań. Dzielę się jakby trochę zmieniło. Ostatnio przygotowałam wieczór złożony z tekstów Kazimierzy Illakowiczówny, ale zaproszeń dostaję znacznie mniej.

- Sądzę, że przyczyny należy upatrywać raczej w problemach

Na tran

finansowych domów kultury i innych ośrodków tego typu. Potrzeba intymnego kontaktu ze sztuką, aktorami, w dalszym ciągu istnieje. Jest na to sporo dowodów.

- Tak, to prawda. W teatrze obserwujemy nadzwyczajną wprost wierność publiczności swoim pupilom. W tej chwili gram we Współczesnym w humorosce Mroźka "Wdowy". Spektakl cieszy się ogromnym powodzeniem, a przecież wszyscy wiemy, że nie jest to jego najwspanialsza sztuka. Ale wystarczają nazwiska: Mroźek, Axer, Lipińska, Kucówna, Michnikowski, Kowalewski, Bista, żeby ludzie przychodzili. To fantastyczny dar otrzymany od losu, że ludzie nas chcą, że o nas pamiętają, że jesteśmy im potrzebni.

- Powiedziała pani w swojej książce, że jakie jest życie, taki jest teatr. Ostatnie Warszawskie Spotkania Teatralne dowiodły, że teatr dalej jest wspaniały. Na przedstawienia, szczególnie krakowskie, publiczność waliła drzwiami i oknami. Pesymistyczne prognozy przepowiadające koniec teatru, mówiące o jego kryzysie, nie znajdują potwierdzenia...

- Nie przyłączam się do tego bolesnego jęku. Przyszło nowe i wszystko się zmienia. Nie ma co lamentować. Życie, od momentu przyjęcia na świat, jest walką. Myśmy o tym zapomnieli w wygodnych fotelach stałych etatów.

- Pani aktywność mieliśmy ostatnio okazję oglądać w czasie aukcji na rzecz Domu Weterana w Skolimowie, o który troszczy się pani już od 20 lat. Czy jest dla pani ta działalność, czy powoduje panią jedynie iluzja?

- To słowo nie powinno tu w ogóle paść. To jest przede wszystkim obowiązek wobec tego, co minęło i tego, co niesie przyszłość. Ten dom, liczący sobie 65 lat, jest największym osiągnięciem naszego środowiska. I żadne inne środowisko nie może się podobnym osiągnięciem poszczycić. Jest to miejsce, w którym w czas kłeski, starości lub choroby można złożyć głowę. Ale żeby w pełni zdać sobie sprawę z tego luksusu, trzeba tak długo wokół niego pracować jak ja. Nie na darmo jestem nazywana "panią na Skolimowie". I jestem z tego dumna.

- Aukcja na rzecz Skollmowa wykazała, jak bardzo na tle innych grup zawodowych solidarne jest aktorskie środowisko. Jak pani sądzi, dlaczego?

- To wynika z charakteru pracy. Jest to zawód najbardziej ze wszystkich twórczy, wymagający pracy zespołowej. Każdy z nas potrzebuje partnera. Przeżyłam okres mełh metodami i mogę powiedzieć, jak bardzo smutne jest takie życie. Natomiast opierając się na zespole, na ludziach, jest fantastyczne. Było zresztą na to mnóstwo dowodów, choćby sprawa bojkotu. Można go różnie interpretować z perspektywy czasu,

są reakcje czytelników - setki listów, na które nie byłam w stanie odpisać i za co pragnę gorąco przeprosić, ale to było naprawdę ponad moje siły.

- Na kartach tej książki udało się pani utrwalić niczym na kliszy sylwetki osób, które już od nas odeszły. Postaci, które bardzo wiele znaczyły w naszej kulturze. Jest tam pełny temperamentu Melchior Wańkowicz w swoim mieszkanku przy Puławskiej, sprzeczący się z żoną Stefan Kisielewski, Maria Kuncewiczowa na spacerze z mężem, Jerzym, Aleksandra Dmochowska, której postać nieodłącznie jest związana ze Skoll-

mpolinie czasu

nieniem jest to dowód na ogromną konsolidację wewnętrzną środowiska. Gdy trzeba, jeden staje za wszystkich, a wszyscy za jednego.

- Swoją książką weszła pani w krąg literatury kobiecej czy też, jak mówią niektórzy, "kobiecego getta". W jednej z recenzji uczyniono nawet pani z tego powodu zarzut...

- Jestem kobietą i piszę tak jak umiem. Dzielenie sztuki na kobiecą i niekobiecą jest po prostu śmieszne. Jeśli gram w teatrze kobiecą rolę, to czy można czynić mi z tego zarzut? Kobiety będą zawsze tworzyły wedle własnej wrażliwości i własnego myślenia. I nie ma co tu wytykać palcem. Mówienie o czymkolwiek, że jest "kobiecy" stanowi jeszcze jeden dowód na panujący w Polsce antyfeminizm. U nas ciągle obowiązuje antykobiece retoryka. Przecież to okropnie zacofane i prowincjonalne. Dajmy sobie wreszcie nawzajem wolność i pozwólmy robić to, co się nam podoba.

Również zarzut, że coś jest niezawodowe w sztuce, to też polska specyfika, objawiająca się w powiedzeniu "pilnij szewcze swego kopyta". Gdybym trzymała się kurczowo tych zasad, nigdy nie przeżyłabym przygody, jaką sama sobie zafundowałam, pisząc książkę. Czas lepienia jej zaliczam do najmilszych w życiu. To, że ją wydano i czytano, poczytuję za sukces. A to, czy jest "zawodowa" czy nie, guzik mnie obchodzi. To, co nie jest zawodowe, za chwilę takie się staje - dowiedziałam się tego, pracując blisko 40 lat "w sztuce".

- Niczym "poeta w pewnym wieku" z wiersza Zbigniewa Herberta, który "ogłada się w lustrze/rozbiła lustro", rozsyłała pani swoje życie na drobne odłamki, by je następnie skrzętnie pozbierać w przemyślną całość. Widzowie tworzą zawsze pewien mit, legendę aktora. Czy nie bała się pani rozbitcia tego mitu?

- W ogóle o tym nie myślałam. Zawsze jest pewien element kreacji i ja też kreowałam i siebie, i świat. Czy zgodnie z rzeczywistością, ocenę pozostawiam mojemu najbliższemu otoczeniu. Starłam się przede wszystkim być szczerą. I chyba tak było, czego dowodem

mowem. Są Andrzej Kijowski, Karol Malcużyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Halina Miłkowska. Czy któraś z tych postaci w jakiej szczególnej formie zapisała się w pani pamięci?

- O wielu osobach chciałoby się pamiętać, by żyły w naszej świadomości i nie przeminęły. Świat, który minął i świat, który się tworzy obecnie są dla mnie integralnie ze sobą związane. Wokół mnie nie tylko są ludzie, z którymi pozostaję w stałym kontakcie, ale także i ci, którzy odeszli. Tęsknię do nich, w mojej pamięci, mojej wyobraźni, istnieją i żyją.

- Psychologowie ostrzegają. Mówią "kochaj przeszłość, ale żyj przyszłością".

- Sądzę, że spełniam ten warunek. Jestem osobą pracującą do przodu, ale ogromnie lubię wlec za sobą ogon przeszłości. Stamtąd czerpię swoje siły. Odbijam się od przeszłości jak od trampoliny po to, ażeby podjąć trud jutrzejszego dnia. Jestem starsza, słabsza, mam mniej siły, mniejszą odporność. Więc ten dzień przyszły, który został już przeszłością, daje mi siłę, bo on udowadnia, kim jestem, na co mnie stać, co mogę zrobić i czy poddam jutrzejszemu dniu... Dzień wczorajszy bywa też czasem ostrzeżeniem lub hamulcem. Nie należy go lekceważyć.

- Książka pokazuje panią jako osobę pełną harmonii, o szerokiej ułudolnienach artystycznych - jest nie tylko świetnie napisana, ale i znakomicie przez panią zilustrowana. Ma pani przecież za sobą przeszłość plastyczną. Czy nie kocha pani, by do niej czasem powrócić?

- Czasem mam na to ochotę, ale żyję tak bardzo intensywnie, że brak mi czasu. Rysowanie, malowanie, wymaga izolacji, a na to w tej chwili mnie nie stać. Może kiedyś, jak będę miłą staruszką. Bo postanowiłam sobie wychować na pogodną, sympatyczną staruszkę. To jest fantastyczne poczucie, że jeśli dożyję starości, będę miała co robić. Moje rysowanie zostawiam sobie na tzw. czarną godzinę, której oby nigdy nie było. Na razie w moich zeszytach rysuję tylko wtedy, gdy mam grypę albo gdy mi smutno.

- Czy dużo jest tych zeszytów?
- Na szczęście nie.